

JÓZEF GŁOMB

CZAS PRZEMIAN: WOLNOŚĆ I OGRANICZENIA W DZIAŁALNOŚCI TECHNICZNEJ

I. WSTĘP 1.

Zyjemy w okresie specjalnym. Nadszedł i trwa – czas przemian, zmian gruntownych, obejmujących prawie wszystkie aspekty życia. Jest to czas zmian w mikroskali, jeśli można tak nazwać przekształcania i porządkowania na nowo układu społecznego i gospodarczego, w którym działamy my, nasz kraj i kraje sąsiednie. Ale jest to także – równocześnie – czas zmian w makroskali, w skali świata, gdzie obserwujemy skokowy przyrost ludności i daleko idące zmiany w środowisku.

Zmiany następujące u nas i w przyległej strefie geograficznej tak istotnie i bezpośrednio wpływają na nasze życie, że przesłaniają nam percepcję przemian globalnych, ale nie ulega wątpliwości, że muszą się w nie wpisać, są od nich zależne.

Tym przemianom w układzie fizycznym z jednej strony, a społecznym z drugiej, towarzyszą, jest to zrozumiałe, niepokoje i rozregulowania w układach między ludźmi, w relacjach moralnych i – jako pewna konsekwencja tego – w relacjach prawnych. Jest to ważna sfera tworząca infrastrukturę naszych działań w obszarze gospodarki, stanowiącą szkielet; w jakimś stopniu można by może powiedzieć: „imperatyw kategoryczny” wszystkich podejmowanych przez nas decyzji.

Jest ważne, aby ta sfera była spójna, konsekwentna, ale również musi być ona zrozumiała i aprobowana przez grupy i struktury społeczne, których dotyczy.

I jeszcze jedno. Gdy mówimy o wolności, mówimy równocześnie o działaniu. Ograniczenia działania to ograniczenia wolności. Te sprawy są zawsze razem, nie da się ich rozdzielić.

Potrzeba uporządkowania pojęć w zakresie filozofii naszego działania jest niewątpliwa. Trzeba nad tym pracować. Czy ta konferencja się do tego przyczyni, nie wiem. Ale trzeba się starać.

II. WSTĘP 2.

Wspomniałem o zmianach, w jakich uczestniczy nasze pokolenie: i w charakterze wiadza i równocześnie aktora. W czasie naszego życia niepostrzeżenie, ale jednak na naszych oczach, zmienia się świat. Uczono mnie w szkole powszechnej, że na świecie jest niecałe 2 mld ludzi, a teraz jest ich już przeszło 6 mld. Co to oznacza? Na każdego człowieka żyjącego na ziemi przypada obecnie (wliczając Antarktydę, Grenlandię, wszystkie pustynie) ok. 2 ha. A jak się to będzie zmieniać, gdy po każdym następnym dziesięcioleciu przybędzie dodatkowo miliard albo więcej – każdy może sobie sam dopowiedzieć.

I drugi przykład: ilustracja rozmiaru zmian globalnych. Otóż ja jestem inżynierem. Buduję mosty. Samochody to główne obciążenie tych konstrukcji. Ale czy uświadamiamy sobie, że te mosty będą trwałe dłużej niż epoka płynnych surowców energetycznych? Przy obecnym spożyciu cała ropa wyczerpie się w ciągu 40 – 60 lat. To co przyroda zgromadziła przez miliony lat, my wykorzystamy w pełni przez dwa pokolenia. Dla naszych wnuków nie zostanie nic!

I tak mógłbym mnożyć przykłady zmian, zasadniczych zmian relacji pomiędzy człowiekiem a przyrodą, jakie nastąpiły w ostatnich dziesiątkach lat, ale myślę, że nie trzeba więcej udowadniać, że zmienił się świat i musi się także zmienić zasadniczo nasza ingerencja w sprawy otoczenia – słowem: należy ograniczyć konsumpcję! Trzeba postawić bariery, trzeba wprowadzić granice swobody naszego działania przynajmniej w obszarze techniki i gospodarki.

Dla zilustrowania tej tezy sięgnę po jeszcze jeden przykład z mojego zawodowego podwórka. Otóż są już takie miejsca na ziemi, w których nie wystarczy powiedzieć: nie powinniśmy robić, lecz trzeba stwierdzić, że nie możemy robić więcej, po prostu nie ma już miejsca. Jeżeli np. w Los Angeles co czwarty metr kwadratowy powierzchni jest zabetonowany, tworząc drogę albo parking, to co tam można więcej zbudować? Ile autostrad więcej? Ile parkingów? Jest to przykład – zdaniem moim – wiele mówiący. Zmusza do zastanowienia. Rysuje się dziwny wniosek: jakie wymyślić bariery, jakie ograniczenia wolności wprowadzić, aby nie było u nas tak jak w Ameryce.

III. OGRANICZENIA W SFERZE DZIAŁANIA TECHNICZNEGO

I. „Ideologia” zmian

Gdyby chcieć zamknąć w skrótowym określeniu ideologię działania naszego świata w sferze gospodarczej (w tym również w technice), to można by powiedzieć, że wyznacznikiem tzw. postępu jest słowo „WIĘCEJ”. Więcej wszystkiego za wszelką cenę. Jest to ideologia bogatych, tego miliarda mieszkającego na północy globu. Ale jest to – niestety – również ideologia kilku miliardów biednych, w tę bogatą „północ” bezkrytycznie wpa-trzonych.

Byłem niedawno w Waszyngtonie na kongresie mojej inżynierskiej organizacji. Hastelem naczelnym, dominantą tego spotkania 2,5 tysiąca techników z całego świata było: jak działać, aby zbudować więcej i szybciej. Nastrój był typu „push and drive” – jak sto pięćdziesiąt lat temu, gdy szli na Zachód. Nic się nie zmieniło. Ale trudno się dziwić. Kongres odbywający się w Waszyngtonie, w stolicy kraju, który mając niecałe 5% ludności świata, zużywa ponad 30% światowej energii (i dóbr w ogóle), nie mógł wprowadzić akcentów umiarkowania. Przecież amerykańska gospodarka jest najbardziej dra-pieżną, nieumiarkowaną i rozrzućną gospodarką świata. Jest to potężny walec potęgującej się produkcji, sztucznie tworzonych potrzeb i marnotrawnego spożycia. Walec ten toczy się bez przerwy, kierowany przez tych, którzy nie uznają żadnych ograniczeń wolności, którzy myśląc wyłącznie o „dzisiaj”, zapomnieli o istnieniu słowa „jutro”.

Ale czy nam wolno iść tą drogą? Czy także mamy udawać, że nie znamy słowa „jutro”? Przecież to oczywiste, że nie. Droga Ameryki i paru innych bogatych krajów to nie droga dla reszty świata. My – nolens volens – musimy robić to inaczej: wyznacznikiem tego innego stylu działania muszą być ograniczenia. Czy nam się podoba, czy nie – słowo „jutro” oznacza: ograniczenia. Chodzi nie tylko o ograniczenie zaspokajania potrzeb, ale również – a może przede wszystkim – o weryfikację tych potrzeb. Ograniczenie działania, spożycia, wszędzie gdzie tylko możliwe. Jedyne wyjątek to może myślenie. Tylko tutaj można sobie pozwolić na komfort, swobodę, tylko tutaj może być wolność, ale w działaniu na pewno nie.

Może tutaj – w tym momencie – sięgnę znowu po przykład z mojej dziedziny działania. Będzie to również jakaś refleksja. Otóż człowiek pierwotny budował konstrukcje, aby go broniły przed środowiskiem (zjawiskami klimatycznymi, zimnem, wodą, wiatrem i przed zwierzętami także). A obecnie role się zmieniły. Wypada nam bronić środowiska przed człowiekiem. Przed jego siłą, bezwzględnością, przed totalną ingerencją, która powoduje, że wytwarza się jakaś nowa jakość otoczenia nie mająca nic wspólnego z naturalnym środowiskiem. Innymi słowy, trzeba wprowadzić ograniczenia wolności, aby

bronąć to środowisko przed naszym pokoleniem w interesie pokoleń przyszłych. Paradoks: bronić przed rodzicami w interesie dzieci!

Czyli w sferze działania technicznego, a mówiąc ogólniej gospodarczego – „Leitmotivem” myślenia ma być nie „jak zwiększać wolność”, lecz jak ją ograniczać. Wiemy, że ograniczenia te będą, że będzie ich dużo, a do dyskusji pozostają uwarunkowania tego, co wolno, i technologia wprowadzania barier.

2. Ograniczenia jakościowe

Poprzednio mówiłem, że występuje potrzeba nałożenia na naszą wolność formowania (a właściwie ciśnie się na usta określenie: deformowania!) przestrzeni ograniczeń ilościowych. I jest to prawda, ale nie wystarczająca. Trzeba nie tylko robić mniej, ale również inaczej. Konieczne są także ograniczenia jakościowe. Dążeniu do uzyskania społecznej aprobaty służą nie tylko ograniczenia ilościowe, lecz również dywersyfikacja form. Mój zawód inżyniera budującego mosty służy komunikacji, służy temu, aby ludzie byli blisko. To chyba dobrze, jeśli są bliżej, ale na pewno źle, że stają się podobni. Czy chcemy, czy nie – my wszyscy działający w sferze gospodarczej, a zwłaszcza technicy, służymy wizji świata zunifikowanego, w którym następuje zagubienie i wygaszenie różnicowań i indywidualności. Jakikolwiek most zbudują będzie on służył najgorszemu ze złych celów: przyrostowi kulturalnej entropii.

Logika dążenia, aby było taniej, pcha nas w kierunku produkcji masowej. Dotyczy to również mojej dziedziny: prefabrykacja prawie na całym świecie święci triumfy. Ale tę tendencję trzeba zatrzymać. Trzeba położyć tamę tej wolności. Powinniśmy bronić różnorodności form oraz treści, bo broniąc różnorodności, bronimy również i piękna.

Zimna, techniczna racjonalność i wynikająca z niej jednolitość jest uboga, intelektualnie pusta, gasi nas i degradowuje. Jest to ważne ograniczenie naszej wolności tworzenia (projektowania).

3. Wolność w sferze nauki

Na wstępie trzeba stwierdzić, że nauka obecnie to co innego niż np. sto lat temu. To już nie aktywność kilku nawiedzonych, działających gdzieś na marginesie poza głównym nurtem życia danej społeczności, lecz ważna gałąź gospodarki każdego kraju, nieraz o takim wymiarze jak np. przemysł maszynowy czy hutnictwo. A więc nie może to być partyzantka, lecz zorganizowana działalność. W tę sferę kierowane są znaczne środki, i w skali państwa mogą z tego wynikać znaczące korzyści.

Znane jest niemieckie powiedzenie „Gedanken sind zollfrei” Brzmi to ładnie, ale nauka to nie tylko myślenie, lecz również zastosowanie efektów tego myślenia w życiu społecznym i gospodarczym. A tutaj już cło trzeba płać.

Mówiąc serio: gdy zaczynamy uprawiać naukę, wyłania się pytanie, czy ma to być nauka dla nauki, tzn. działalność intelektualna bez określonego stosunku do realiów społecznych, politycznych czy szczególnie gospodarczych, czy też nauka dla zastosowań „jutro” lub „pojutrze”, ale zawsze wymiernie i konkretnie. Słowem, czy jest to zabawa indywidualnego człowieka, czy też działalność społecznie wymierna. Uprawianie „hobby”, działanie dla własnej przyjemności, czy też pomaganie innym ludziom. Czy mam to zadanie realizować sam, czy też – jeśli jest to społeczne posłannictwo – wypełniać je przez innych, przez swój zespół, krąg współpracowników itp.

Pytanie poprzednie można wyrazić inaczej. Czy indywidualne osoby i instytucje naukowe mają być „fabrykami” nauki odgradzonymi od codziennego życia murem dostojności i „wyjątkowości” tych, którzy tę naukę uprawiają, czy też mają być stale otwartymi ośrodkami inspiracji i krystalizacji idei, wysiłków i działań formujących ideologię dla całego układu społecznego i gospodarczego kraju.

Czy celem nauki jest samo poznanie – niezależnie od miejsca i czasu – czy też (lub nawet przede wszystkim) rola inspirująco-organizatorska w stosunku do całego układu społeczno-gospodarczego, w którym tkwimy, którego jesteśmy elementem.

Inny wymiar tego problemu to określenie relacji między tzw. badaniami podstawowymi a wiedzą pozyskiwaną z myślą o doraźnych korzyściach gospodarczych (tzw. R. & D.). Wiadomo, że w tym drugim przypadku celem działania naukowego jest produkt, proces (metoda produkcji) lub sposób postępowania, natomiast w tym pierwszym – zwiększenie zasobów wiedzy, czyli mówiąc jak najogólniej, poszukiwanie racjonalnych korelacji i zasad.

Rozdział, granica pomiędzy tymi sferami jest oczywiście nieostra. Ale nie zwalnia nas to od obowiązku poszukiwania właściwych relacji (proporcji) między nimi. Chodzi o to, że pieniądze wydane na tzw. badania stosowane wracają szybko w miejsce, skąd zostały wzięte, a środki wydane na badania podstawowe rozpraszają się w czasie i przestrzeni.

Ważne jest również i zawsze sensowne pytanie o motywację. Czy jest to własna pasja poznawcza i tzw. chęć wzbogacenia dorobku nauki jako układu autonomicznego, czy też motywacje ogólniejszej natury, społeczne. Czy główną nagrodą ma być satysfakcja z indywidualnego poznania prawdy i uznanie własnej, wąskiej grupy zawodowej, czy raczej wychodzące daleko poza sferę nauki jako takiej. Innymi słowy: czy to, co robi, robi dla siebie, czy robi dla innych, społecznie.

Może gdy padnie odpowiedź, że przecież uprawianie nauki zawsze jest „dla kogoś”, to trzeba postawić dodatkowe, ale ważne pytanie: czy robi to dla zmiany w sensie pozytywnym „tu i teraz”, czy też dla kogoś gdzieś tam i w nieokreślonej perspektywie czasowej. Mówiąc inaczej i trochę upraszczając – co zrobił dla tego kraju i tych ludzi, którzy żyją tutaj i teraz (i płacą za jego działalność), a co było zrobione, aby opublikować w tzw. renomowanym czasopiśmie zagranicznym i ewentualnie wykorzystać – np. w Kanadzie za lat dziesiąt.

Takie pytania trzeba stawiać nie tylko ludziom, ale również całym organizacjom i komitetom akademii, wydziałom i całej akademii. I to jeszcze nie wszystko. Bo jeśli nawet ustalimy, że określona działalność naukowa jest ulokowana w przestrzeni społecznej (w tym także – w jakimś stopniu – politycznej i gospodarczej), jeśli jest robiona ze społeczeństwem i w pozytywnych relacjach czasowych, to trzeba jeszcze postawić dodatkowe pytanie o wartościowanie tej działalności. Nie wystarczy iść naprzód. Trzeba sprawdzić, czy droga ta prowadzi w dobrym kierunku.

W tym momencie wyrażam pogląd, że nauka nie jest dobrem samoistnym, czymś obojętnym społecznie, a nawet moralnie. Swoboda działań naukowych nie może być nieograniczona; hasło „wolność nauki” rozumiane absolutnie jest hasłem nie tylko bałmatnym, ale wręcz szkodliwym.

Naukę trzeba zawsze widzieć w szerokim społecznym kontekście, analizować konsekwencje odkryć, skutki bezpośrednie i pośrednie. I choć wiem, jak to trudne i niejednoznaczne, trzeba stale zdobywać się na oceny. Trzeba wartościować. Trzeba mówić wyraźnie, czy określona działalność naukowa jest dobra społecznie, a nawet moralnie, czy nie. Zarówno wybór tematyki badawczej, decyzje o sposobie działania, jak i swoboda głosu muszą być temu podporządkowane. Czy jest potrzebna, czy też zła i szkodliwa. A stawiając kropkę nad „i”: czy zezwolić, czy zabraniać? Ja wiem, jak niepopularne są w tym środowisku takie tezy i jak złą mają tradycję. Ale uważam, że mimo to trzeba o tym mówić.

Jeszcze raz z naciskiem chciałbym podkreślić, że uważam, iż nauka może być dobra, dając powód do chwały, lub zła, społecznie obojętna, a nawet szkodliwa – powód do ograniczeń, może nawet administracyjnych, w zależności od społecznej oceny jej rezultatów.

To bardzo delikatne pole, śliska sfera: jak to robić (te oceny!), kto ma to robić, ale robić trzeba i – co tu dużo mówić – robi się to, m. in. decydując o przydziale środków lub – z innej strony patrząc – przyznając nagrody różnego rodzaju.

Moje stwierdzenie o tyle tylko chce zmienić rzeczywistość, że postuluje zamianę sterowania przypadkowego, czegoś w rodzaju partyzantki, na uporządkowaną prawnie i organizacyjnie politykę społecznych ocen z konsekwencjami – nie bójmy się tego powiedzieć – administracyjnymi. Innymi słowy, stawiam tezę, że nauka powinna być oce-

niana. Konsekwencją tego jest uznanie, że powinni być ci, którzy określają granice wolności w tej sferze. System ocen i nagród powinien być instrumentem społecznego, a więc i państwowego sterowania działalnością naukową.

IV. WNIOSKI

Wnioski z tego, co powiedziałem są – w moim rozumieniu – dość jednoznaczne, ale nie wiem, czy zgodne ze stylem myślenia w kręgach tzw. demokratów i różnej maści liberalistów. Wiadomo, że u wielu ludzi pojęcie „wolność” jest czymś wyjątkowym; są skłonni uważać to za coś absolutnie pozytywnego: „wolność tak, niewola nie”. Jest to słowo – hasło, które weszło „na sztandar” i stało się powszechnie używanym instrumentem działania politycznego. Podobną rolę odgrywa słowo „demokracja”. Siła tych słów stała się znaczna, wniknęły one bardzo szeroko w życie społeczne. Zaczęto je uważać za pojęcia uniwersalne, przydatne wszędzie, za „wytrychy, które mogą otwierać wszystkie drzwi”.

Otóż uważam, że trzeba się temu stylowi myślenia przeciwstawić. Tak słowo „wolność”, jak i słowo „demokracja” mają pewne znaczenie, pewną społeczną przydatność, ale ich użyteczność jest lokalna, a nie uniwersalna.

Gdy mówimy o wolności w nauce, to trzeba – jeśli sprawa ma mieć wymierny sens – dopowiedzieć: wolność dla KOGO, w jakim ZAKRESIE, w jakim MIEJSCU. Podobnie jak mówimy demokracja, to musimy też określić dla KOGO (dla jakiej struktury społecznej) i czy wolność działania takiej grupy społecznej ma SPOŁECZNY sens, a także czy ta zbiorowość składa się z podmiotów tego samego rodzaju, porównywalnych, dających itp. Słowem zawsze, gdy mówimy „wolność”, musimy równocześnie wskazać na ograniczenia. Gdybym musiał podać definicję, to powiedziałbym, że „**wolność to technologia poruszania się wewnątrz ograniczeń**”. Ograniczenia są najważniejsze, decydują o wszystkim. Trzeba je najpierw poznać, określić ich wymiar aktualny i przyszły, a dopiero potem mówić o wolności. Innymi słowy, bez zlokalizowania sprawy w przestrzeni społecznej mówienie o wolności staje się politycznym gadaniem, pobudzającym – być może – emocje, ale nie przynoszącym społecznie wymiernych korzyści.

Emocjonalny i generalnie pozytywny stosunek do wszystkiego, co się ze słowem wolność wiąże, jest – moim zdaniem – przejawem pewnej bezwładności myślowej, przejawem lenistwa intelektualnego.

Chciałbym tym, którzy tak dużo mówią o wolności w nauce i „demokratycznie” wybierają struktury, które tą nauką mają rządzić, powiedzieć, że – moim zdaniem – jeśli w nauce w ogóle jakaś demokracja ma sens, to tylko taka, jaka funkcjonuje w Kościele katolickim.

Pojęcie „wolność” i „demokracja” to określenia ze sfery polityki, wskazują na emocjonalny stosunek do rzeczywistości. A trzeba w naszym działaniu oddzielać emocje od realiów.

W nauce, która ma być, która jest gorszą albo lepszą fotografią rzeczywistości, przydatność tych określeń jest żadna. Właściwie nie powinniśmy tych pojęć używać, a tym bardziej metod z tego arsenału stosować. Jest tysiąc powodów, aby uznać słuszność takiego stwierdzenia.

Nie może być ani wolności, ani pełnej, wyłącznej samorządności w nauce, bo naukowiec jest często, bardzo często (a nawet ciśnie się na usta określenie: musi być) człowiekiem widzącym tylko mały fragment rzeczywistości, zdominowanym przez szczegóły. Danie takiemu pełnej wolności, to byłaby brzytwa w rękę dziecka. Ponieważ odkrycia naukowe mają często wielką siłę i znaczenie gospodarcze, a nawet społeczne, a dojście do nich wymaga dużych pieniędzy, to kontrola sprzeczna tej sfery działania jest chyba naturalna. Ta kontrola – zdaniem moim – powinna być prowadzona z pozycji zewnętrznych. To, co się dzieje u nas, gdzie tłumy przeterminowanych adiunktów decydują (pośrednio, ale decydują!) komu, na jakie badania przekazać państwowe pieniądze, jest

pozbawione – zdaniem moim – sensu. Za taką wolność kreowania rzeczywistości, za taką demokrację – dziękuję!

To, co powiedziałem wyżej, nie oznacza, że opowiadam się za lekceważeniem opinii środowiska naukowego w kreowaniu potrzeb w zakresie badań. Trzeba i można wybrać kilku mądrych, szeroko patrzących. Ale jeśli taki jest mądry, to jest mądry obok nauki, mimo nauki – choć jest naukowcem, to jest mądry. Brzmi to źle, przyznaję, ale taka jest moja subiektywna prawda.

Dlatego na koniec chciałbym wyrazić pogląd, że – zdaniem moim – wolność staje się pojęciem, którego przydatność maleje. Jest to pojęcie z poprzedniej epoki i to – bądźmy otwarci – z marginesu poprzedniej epoki. Posługiwali się nim w życiu społecznym nie „mądrzy”, lecz „hataśliwi”.

Można na ten temat zrobić konferencje, ale nie może być ona – ta wolność – sprawnym, skutecznym instrumentem porządkowania działania ani w sferze nauki, ani gospodarki, ani życia społecznego. Pewno to końcowe stwierdzenie będzie różnić się od niektórych wypowiedzi moich znakomitych przedmówców, ale może dobrze będzie, że i ten kontrowersyjny, przyznaję, pogląd zostanie tutaj przedstawiony.